



Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.

1/2 „ — 25 „

1/4 „ — 13 „

1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Recydywa.

Wiec antylitewski, zwołany na dzień 5 stycznia w Sali Miejskiej, poprzedzony olbrzymimi plakatami, nawołującym ludność wileńską do protestu przeciwko prześladowaniu Polaków w Republice Litewskiej, krótka, lecz znacząca rozmowa p. wojewody z prezesem T. Komitetu Litewskiego, namiętne artykuły w polskiej prasie wileńskiej—wszystko to przypomniło nam żywo październik 1927 r., kiedy to po raz pierwszy zostały zastosowane słynne „retorsje”.

Podobieństwo polega głównie na sztuczności zainscenizowanej wówczas i dziś akcji protestacyjnej, nie mającej w najślabszym stopniu cech odruchu żywiołowego. Politykę nacjonalistyczną rząd litewski uprawia niezmiennie od 15 lat i ujemne jej skutki niewątpliwie dają się we znaki przedewszystkiem mniejszości polskiej, pozbawionej możności nieskrępowanego rozwoju kulturalnego i traktowanej, jako zło konieczne. O tem upośledzeniu swych rodaków opinia polska jest doskonale poinformowana, gdyż prasa polska skrzętnie notuje każdy najdrobniejszy objaw nastrojów antypolskich w Litwie, każdą szykanę administracyjną, każdą błąhą nawet represję. O sposobach ratowania zagrożonej polskości, przyjscia z pomocą bezradnemu i bezbronnemu społeczeństwu polskiemu w granicach państwa litewskiego pisano stale, dużo i obszernie. Stopniowo zaczęto uświadamiać sobie tę prostą prawdę, że sprawa jest beznadziejna, dopóki nie zostaną nawiązane stosunki normalne pomiędzy Polską a Litwą, nim nie zostanie załatwiona kwestja wileńska.

A gdy następowało pewne uspokojenie i odprężenie, gdy przychodziło zastanowienie, nagle, bez żadnego widocznego powodu skore zawsze do agresywnych wystąpień czynniki rozpoczynały gwałtowną kampanję antylitewską, podniecając opinię i wywo-

lując zaostrenie ponowne wzajemnych stosunków. Tak było w r. 1927, tak się dzieje obecnie.

Ale są i różnice. Wybuch nieoczekiwany oburzenia w r. 1927 na prof. Voldemarasa za prześladowanie Polaków, hałas wszczęty wówczas przez prasę wileńską, zastosowanie przez władze polskie taktyki odwetowej miały cel wyraźny: sprowokowanie rządu litewskiego do takich posunięć, któreby uzasadniały podjęcie kroków rozstrzygających. Manewr ten się nie udał, ponieważ rząd litewski odwołał się do Ligi Narodów, czego rezultatem było kilka bezpłodnych konferencji polsko-litewskich, i sprawa w końcu utknęła znów na martwym punkcie.

Jaki zaś cel mają obecne demonstracje wileńskie, zapoczątkowane przez wiec d. 5 stycznia, a mające się zakończyć uliczną manifestacją w d. 19 stycznia, to trudno odgadnąć. Ani artykuły w prasie, poprzedzające wiec, ani uchwały tego wiecu wyjaśnienia zagadki nie dają.

Należy zaznaczyć, że artykuły z r. 1936 również znacznie się różnią treścią i tonem od artykułów w tychże pismach z r. 1927. Wówczas mówiło się z goryczą o nieprzejednanej postawie Kowna, jednocześnie jednak deklamowano z przejęciem o tradycjach historycznych, o idei Jagiellońskiej, o Unji, o W. Ks. Litewskim, o Orle i Pogoni. „Kurjer Wileński” zastrzegał się nawet stanowczo (przynajmniej w teorii) przeciwko retorsjom i polityce odwetowej.

Dziś p. Ad. B. w „Słowie” przemawia językiem zdecydowanego nacjonalisty polskiego, nie wdając się w żadne reminiscencje historyczne, nie wysuwając żadnych postulatów w zakresie porozumienia i ugody, domagając się jedynie zmiany „kursu dotychczasowej łagodnej polityki na bardziej stanowczy i ostry, zastosowania systemu odwetu i wzajemności w stosunku do mniejszości litewskiej w Polsce”. Nie potrafił autor wskazać konkretnie, jakie mają być owe ograniczenia, jak również na czem polega

uprawiana dziś ku jego niezadowoleniu polityka tolerancji i chwiejności. Poprzestał na żądaniu usunięcia z nazwy wileńskiego Komitetu Litewskiego przymiotnika „Tymczasowy”. Żądaniu temu stało się zadość, ale chyba nie o tę dziecianną satysfakcję chodziło jedynie panu A. B.?

Jeszcze bardziej mglisto wypowiada się na łamach „Kurjera Wileńskiego” p. Janusz Ostrowski. Napomyka o terrorze, stosowanym rzekomo przez zorganizowane społeczeństwo litewskie względem jednostek, „biorących udział w gospodarzem i społecznym życiu kraju”, pomstuje na taktykę izolacji, której trzymają się tutejsi Litwini i wyraża nadzieję, że metody te zostaną przełamane oraz że rząd polski znajdzie „jakiś sposób na ukrócenie tego stanu rzeczy”. Żadnego jednak środka nie wymienia, ani zaleca.

Niewiele też materiału orientacyjnego daje rezolucja wiecu. W przeważnej swej części składa się ona z szeregu protestów przeciwko poszczególnym krzywdom, jakie się dzieją Polakom w Republice Litewskiej lub też stanowisku rządu litewskiego wobec Polski, niektóre punkty zawierają platoniczne zapewnienie współczucia i solidarności z ofiarami bezwzględności litewskiej i tylko jeden punkt mówi o pomocy realnej w postaci projektu utworzenia „Funduszu Pomocy Ludności Polskiej w Litwie”, na który ma się złożyć cały naród polski.

Więc jakież cel miał wiec i jakie może mieć on skutki?

Organizatorzy jego chyba nie są tak naiwni, aby przypuszczać, że papierowe protesty uczestników wiecu zastraszą rząd litewski i wpłyną na zmianę jego postępowania. Dotychczasowe doświadczenie nie upoważnia do takiej nadziei. Nie zanosi się również na to, aby zalecane przez przygodnych publicystów „Słowa” i „Kurjera Wileńskiego” represje w stosunku do mniejszości litewskiej w Polsce podziały dodatkowo na położenie mniejszości polskiej w Litwie. Przecież wspomniane retorsje w r.

1927 nie przyniosły żadnych ulg Polakom kowieńskim, raczej pogorszyły ich położenie. Czy powtórna próba da lepsze rezultaty?

Jedynym wynikiem dokonanej i zapowiedzianej ponownej manifestacji zntylitewskiej będzie niewątpliwie pogłębienie antagonizmów narodowościowych na terenie naszego kraju, no i oczywiście uniemożliwienie na dłuższy czas jakichkolwiek prób nawiązania stosunków między Polską a Litwą. Nie chce się wierzyć, aby inicjatorzy akcji do takiego celu świadomie dążyli.

Dziwna rzecz. W szerokiej opinii polskiej, czerpiącej swe wiadomości o Litwie z gazet, rozpowszechnione jest przekonanie, że polityków litewskich w gruncie rzeczy kwestja wileńska bardzo mało obchodzi, że hasła odzyskania Wilna nikt na serjo w Kownie nie bierze i że głównym celem polityki litewskiej jest konsolidacja państwa w obecnych jego granicach pod względem narodowym. Jeżeli tak jest w mniemaniu inteligencji polskiej, to na czemże oparta jest spekulacja, że rząd litewski ugnie się pod presją manifestacyj wileńskich i złagodzi kurs swój polityki w stosunku do mniejszości polskiej? Logika, przeciwnie, każe przypuszczać, że Kowno machnie ręką na Litwinów wileńskich i z tem większą energją przystąpi do tępienia resztek polskości u siebie. Żadne bowiem względy nie będą go wtedy powstrzymywały od kroczenia drogą otwartej eksterminacji.

Albo może wszystkie nasze rozumowania i domysły są całkiem bezprzedmiotowe? Może nie chodzi tu wcale o poprawę losu rodaków w Republice Litewskiej? Może to jest tylko pretekst, za którym kryją się zgola inne cele i dążenia?

Końcowy ustęp artykułu p. Ad. B. w „Słowie”, gdzie się mówi o celowości założenia w Wilnie Związku Przyłączenia Litwy Kowieńskiej do Polski, jako analogji do kowieńskiego Związku Wyzwolenia Wilna—daje nieco do myślenia.

Nieudana próba.

I.

Wilno jest kolebką szkolnictwa z językiem wykładowym żydowskim. Zostało ono tu zapoczątkowane otwarciem na początku XX w. pierwszej szkoły wieczorowej dla dorosłych.

Zmarły niedawno znany działacz dr. Cemach Szabad podaje o otwarciu tej szkoły ciekawe wiadomości w swej autobiografji, świeżo wydanej przez Żydowski Instytut Naukowy. Pod koniec 19 go w. istniało w Wilnie koło literacko-społeczne, które skupiało inteligencję żydowską bez różnicy przekonania politycznych i społeczno-narodowych. Członkowie koła zbierali się nielegalnie w prywatnych mieszkaniach — nieraz po 100 osób — gdzie wygłaszano referaty połączone z dyskusjami na różne

tematy. Zwolna zaczęły się różniczkować w kole poszczególne kierunki ideowe, ale przez długi jeszcze czas harmonijnie współpracowali ze sobą siońscy z socjalistami.

Wtedy powstała wymieniona pierwsza żydowska szkoła wieczorowa z inicjatywy dwóch studentów: Pawła Rozentała, późniejszego lekarza i wybitnego działacza „Bundu”, znanego pod pseudonimem partyjnym „Anman” oraz Szatensztejna (krewnego znanego adwokata warszawskiego). Zrazu (w 1901 r.) założono wieczorową szkołę żeńską, zaś w kilka lat później — także męską. W tej właśnie szkole wieczorowej zaczęto poraz pierwszy u nas prowadzić wykłady w języku żydowskim. Działo się to oczywiście nielegalnie, gdyż urzędowa koncesja szkoły przewidywała rosyjski język wykładowy. Jest rzeczą znaną, że szkoła — właściwie pierwsza świecka „idyszystyczna” placówka — była przedmiotem szczególnej pieczy nie tylko ze strony socjalistów i dzia-

I co dalej?

Wiem, że to, co tu napiszę, będzie niepopularne. Być może nawet, gdybyśmy żyli w warunkach sprzed ćwierć wieku, ochszczonoby mój artykuł wyrazem „niebłagonadwożność”. Na szczęście, żyje się w Rzeczypospolitej, mającej także i niektóre cechy *republiki*. Wolno więc i trzeba mówić o pewnych rzeczach, mimo, [że krytyczny stosunek autora do nadmiaru pewnej inicjatywy, o której niżej, nie wszystkim przypadnie do gustu. Są jednak rzeczy, których nie rozstrzygnie jałowe, choć brutalne uderzenie pięścią w stół, i które ze względu na swoją delikatność nieco innej wymagają metody. Brutalność wcale nie jest synonimem siły. Siła zaś fizyczna często bywa słabszą od siły moralnej. Na tem właśnie, na sile moralnej polega wielkość i siła gnębionych. Tak jest wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną.

Kiedy na kilka lat przed wojną światową w okresie najbardziej ostrej polityki eksterminacyjnej Prusaków względem Polaków w Poznańskim i na Pomorzu, Sienkiewicz, organizując protest elity intelektualnej Europy przeciwko temu barbarzyństwu, zwrócił się między innymi i do Lwa Tołstoja, mędrzec z Jasnej Polany dał taką charakterystyczną dlań odpowiedź: oczywiście Polaków trzeba żałować, jednak bardziej godni pożałowania od nich są Prusacy, stosujący siłę fizyczną w sprawie, nie mającej za sobą podstawy moralnej.

W obecnych stosunkach polsko-litewskich, zwłaszcza w ich dzisiejszym stadium, nie mam naturalnie, zamiaru bawić się w propagandę filozofii tołstojowskiej, wiedząc dobrze, że ci, którzyby ją chcieli zrozumieć, musieliby najpierw przestać być politykami, z tego przede wszystkim względu, że nie każdy t.zw. czynny polityk umiałby się wznieść do jej poziomu. Wszakże przykład ten posiada swój sens i dlatego go zacytowałem.

Stosunki polsko-litewskie oczywiście pozostawiają wiele do życzenia. I tu i tam dzieją się rzeczy godne pożałowania. Można się zgodzić, że z punktu widzenia Polaka jest tam gorzej niż tu. Ażeby o tem zdecydować z całkowitą pewnością, należałoby jeszcze ustalić szereg danych na podstawie dokumentów.

łaczy robotniczych, lecz także sionistów i nawet pewnych konserwatywno-religijnych działaczy. Dowodem tego jest fakt, że wobec istniejących podówczas trudności przy otrzymywaniu zezwolenia na otwarcie szkoły, o uzyskanie koncesji na tę szkołę zabiegała Cedoka Gedoła czyli Zarząd Synagóg w Wilnie („Molitwiennoje Prawlenije”), będąca faktycznym reprezentantem religijnym i społecznym ludności żydowskiej, gdyż kahały żydowskie zostały zamknięte przez władze carskie jeszcze w 1844 r. Otóż Cedoka Gedoła, do której należał nadzór nad wszystkimi bożnicami i cmentarzem Wilna była koncesjonariuszem tej pierwszej nielegalnej świeckiej szkoły żydowskiej za czasów caratu. Szkoła ta istniała (po wojnie już legalnie) przeszło 25 lat.

Przed wyżej wymienioną szkołą język żydowski był wprawdzie używany w szkołach religijnych jako język pomocniczy przy interpretowaniu biblii i nauk rabinicznych, ale o nauczaniu samego języka żydow-

Kto wie, czy nie wypadłoby wtedy uciec się do łaciny: *ambo meliores*. Powiedzmy jednak: tam jest żyć trudniej i ciężiej niż tu. Już widzę, jak mnie na tem łapią i w triumfie przygważdżają: tam stosują ostrą politykę nacjonalistyczną, eksterminacyjną a ty wyjeżdżasz z filozofją Tołstoja? Odpowiadam: czy z tego, że tam żyć trudniej i ciężiej niż tu, musi wypływać zasada wet za wet? Kogo to ona przestraszy, komu się przyda, a komu zaszkodzi? Czy na te pytania jest już stuprocentowo nieomylna i pewna odpowiedź?

Siła dotychczasowej polityki polskiej względem Litwy polegała głównie na jej konsekwencji i wytrzymalności. Że polityka ta w oczach niektórych nie była dostatecznie „autorytatywna”, to wcale nie dlatego, że nie urabiano jej na wiecach i manifestacjach ulicznych. Zbyt daleko zaprowadziłyby nas bliższe rozważania tego momentu. Jedno jest pewne: przedewszystkiem osobisty *sentymant Marszałka Piłsudskiego* do Litwy polityce tej nadawał ton. Ten emocjonalny element spłótł się ponadto z innym jeszcze czynnikiem: ze skryształowaniem się współczesnej koncepcji federalistycznej Marszałka Piłsudskiego, powstałej na gruncie historycznej idei Jagiellońskiej. Ta myśl najsiłniej może zakiełkowała w Wilnie i zupełnie słusznie z tego powodu mogła być dumna polska myśl polityczna. Słusznie też mogło się szcycić Wilno, bo zdawało się, że posiew tej myśli w społeczeństwie tutejszem najmocniej zakwitnął legendą—wzorem, legendą—przykładem; tu najbardziej, zdawało się uderzono w siłę twórczą tej politycznej koncepcji, nigdzie większego nie miała ona oparcia, niż w psychice ludzi tutejszych. O mur niezrozumiałstwa, napotkany w etnicznie polskim społeczeństwie rozbił się największy plan naszych czasów wskrzeszenia zbratanych ze sobą państw od Bałtyku po Krym. O mur swoiście pojmovanej doktryny nacjonalistycznej litewskiej rozbiły się próby przyciągnięcia i związania nowego państwa litewskiego z państwem polskim.

W ciągu ostatnich lat piętnastu wewnętrzna polityka litewska, idąca za teorią biologicznie pojmovanego określenia narodowości, poczyniła tam szczyby w polskim stanie posiadania. W ciągu tych lat piętnastu zdarzały się nawet chwile, w których mogło się wydawać, że przemówią karabiny maszynowe. Mimo to, poza czynnikami natury międzynarodowej, podkreślany już tu i przez nikogo nie ne-

skiego w jakiegokolwiek szkole świeckiej nie mieliśmy wiadomości. Szczególnego przeto znaczenia nabiera fakt, iż pionierem na tym polu w Wilnie był pewien nauczyciel Polak, Maksymiljan Zelwerowicz, który jeszcze na początku 60-tych lat ubiegłego stulecia wprowadził naukę języka żydowskiego do programu prowadzonej tu przez siebie szkoły. Materiały o tej szkole znalazł absolwent wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Wileńskiego p. J. D. Derewiański w Archiwum Żydowskiego Instytutu Naukowego (zbiory d. Szkoły Rabinów w Wilnie). Inne materiały o tej szkole znajdują się także w Archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie,

II.

Dnia 27 marca 1861 r. niejaki Maksymiljan Zelwerowicz, były nauczyciel szkoły powiatowej w Telszach złożył podanie do Kuratora Okręgu Nau-

gowany sentyment Marszałka Piłsudskiego zupełnie jaskrawo wyróżniał i wyodrębniał stosunki polsko-litewskie z ogólnego tła analogicznych stosunków Polski z innymi sąsiadami, wyróżniał i wyodrębniał dodatnio, mimo wzajemnych uprzedzeń, niechęci i nieporozumień. To spowodowało nawet, że stosowanie względem Litwy kryterjów postępowania, wynikających zarówno z tradycji historycznych, jak i z uwspółcześnionej w koncepcji federalistycznej idei Jagiellonskiej w związku z ciągle ważkim sentymentem — wytworzyło z takiego postępowania regułę, podniesioną do roli myśli przewodniej, a nawet do roli idei, jako resztek nieurzeczywistnionej wielkiej koncepcji. Idea ta żyła, praktycznie zaś dawała w życiu codziennym siłę do przetrwania, krzepiła wiarę w lepsze jutro. Jeszcze nie tak dawno luminarze społeczeństwa miejscowego wyrażali nadzieję że dawne idee współżycia narodów mogą znaleźć realizację w nowych warunkach.

Te „nowe warunki” nie były niestety, idealne. Tego nikt nie kwestjonuje. Ale przecież, od dobrych lat kilku szła raczej fala przyływu nastrojów, jeśli nie optymistycznych, to w każdym razie i nie pesymistycznych. Pewna wymiana myśli, wymiana ludzi, poznających nowoczesne warunki bytu obydwu państw jednak była i niewątpliwie przyczyniła się do odprężenia sytuacji. Do entuzjazmu nie było powodu, zbyt ciężkie wzajemne winy były do odrobienia, ale bądź co bądź horyzont współżycia polsko-litewskiego gdzieś niegdzie przecierał się błękitem nadziei. Idea krzepła, ożywiała, żyła. I nawzajem krzepiła i ożywiała.

Nadszedł tragiczny wieczór 12 maja 1935 roku. Do Belwederu wtargnęła śmierć. Nie stało człowieka, który jeżeli nie zdołał rozplątać dramatycznego węzła polsko-litewskiego, to w każdym razie nigdy *nie pozwalał go mocniej zaciskać*. Ledwie umilkły echa dzwonów pogrzebowych, kiedy w dotychczasowych nastrojach polsko-litewskich, a raczej polskich w stosunku do Litwy zgrzytnął nieznanym prawie dotąd ton. Ton nietyle groźny, co straszący, a więc nie tak znów wysokiego gatunku, ton niesympatyczny. Bez żadnych obiektywnych i konkretnych powodów zaczęło się coś dziać mało zrozumiałego, jakieś nieznanne tajemnicze ręce zaczęły zaciskać petlę tragicznego węzła coraz mocniej, dusząc nim to, co było wielkie, czem się tu żyło, co stąd z Wilna najsilniej dawało nadzieję przysz-

łości: ideę, myśl współżycia polsko-litewskiego. Czyżby ta myśl naprawdę okazała się zbyt wielkim ciężarem dla dzisiejszego pokolenia? Czyż nie znajdują się tu ludzie „wyrośli na tutejszej glebie, którzyby znaleźli w sobie dość siły, by prężyć na swe barki jeśli już nie ciężar realizacji nierozwiązanego zadania, to przynajmniej utrzymania przy życiu dotychczasowej myśli zmarłego Marszałka? Czy dopuszczą do tego, by wybudziały nacjonalizmy obustronne dobiły nieokręplą myśl wielkiego syna tej ziemi?

Bo przecież to, czego ostatnio byliśmy świadkami w Wilnie, obniża lot polskiej myśli politycznej, zmusza do nurzania się w ponurej rzeczywistości obopólnej nienawiści. I w jakim celu? Czy zaszyły jakieś powody, któreby zmuszały do tak raptownej zmiany frontu? Jeśli tak, to dlaczego się o nich nie informowało społeczeństwa? Albo czyż naprawdę każą nam wierzyć, że te „bojowe” przemówienia przez radio, niechlujnie zredagowane i tchnące nienawiścią plakaty mają przynieść Polakom z tamtej strony wiech granicznych jakąś ulgę? Nikt nie twierdzi, że to, co się tam dzieje, jest bez zarzutu. Ale skąd ta zarozumiałość i megalomanja, że gdy piętnaście lat polityki największego Polaka, który miał odwagę i dumę mienić się Litwinem, z trudem dawało bardzo małe wyniki, polityki, którą jednak pozostawił jako wskazanie, nagle wystarczy żądza czynu i rozgłosu ze strony pewnych domorośliwych „aktywistów”? I komuż to się zdaje, że bezprzykładnie niski poziom „odezwy” natchnie jej czytelników awersją do ludzi, o których dotąd przez lat piętnaście uczono, że są to zablakani bracia?...

Inteligencja wileńska odznaczała się dotąd pewną samodzielnością politycznego myślenia przez cały okres rozwoju dramatycznej sprawy polsko-litewskiej. Sprawa ta nabierała niekiedy charakteru niebezpiecznego napięcia, ulegała różnym fluktuacjom, ale nigdy dotychczas nie osiągnęła tak ulicznego prawie charakteru, nigdy nie rzucano jej na żer rozbudzonych namietności i niskich instynktów tłumów.

Są jednak pocieszające, choć nieśmiałe objawy, że stanowisko polskiego społeczeństwa Wilna wobec omawianych zdarzeń nie jest tak dalece jednolite, żeby wzbudzało pesymistyczne tylko i czarne horoskopy na przyszłość. Zachowanie się prasy wileńskiej, przyznać to trzeba z pełnym obiektywizmem, było dotychczas spokojne, oględne i raczej bierne. Pozwala to mieć jeszcze nadzieję, że jednak ludzie

kowego w Wilnie za pośrednictwem Dyrektora Szkoły Rabinów, do którego należał nadzór nad szkołami dla dzieci żydowskich, o udzielenie mu zezwolenia na otwarcie i prowadzenie razem z córką Aleksandrą czteroklasowej pensji dla dziewcząt żydowskich.

Do podania Zelwerowicz załączył następujący program nauk projektowanej szkoły:

1) Pensja będzie miała cztery klasy, w których odbywać się będzie nauka religii, czytania i pisania po żydowsku („Żydowsko-niemiecki”), rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, polskiego, wyższego kursu gramatyki, historii rosyjskiej i powszechnej, geografii, kaligrafii i robót ręcznych. Ponadto na specjalne życzenie i w porozumieniu z rodzicami uczenie będą mogły pobierać także lekcje muzyki i tańców.

2) Do nauki religii oraz do nauczania czytać i pisać „w dialekcie żydowskim” zostaną zaangażowani oświeceni Żydzi według wyboru rodziców

i uczniów za zgodą władzy szkolnej, do pozostałych zaś nauczyciele szkół państwowych.

3) Zajęcia w szkole będą się odbywać codziennie — oprócz świąt chrześcijańskich i żydowskich oraz wakacyj w tym samym czasie co w pozostałych państwowych i prywatnych szkołach żydowskich — zrana od godz. 9-ej do 12-ej, a popołudniu od godz. 2-ej do 5-ej z wyjątkiem niedzieli, piątku i soboty. W niedzielę lekcje będą się odbywały tylko popołudniu w godzinach 2 — 5, zaś w piątki tylko zrana od 9-ej do 12-ej. W soboty lekcje będą całkowicie zawieszane.

4) Pensja będzie się mieścić w wygodnym lokalu i będzie zaopatrzona we wszystkie potrzebne pomoce naukowe.

5) Przewiduje się przyjęcie do 60-u uczniów, przy czem wpis będzie wynosić nie więcej niż 50 rubli rocznie.

tutejsi, którzy o idei poprawnego współzycia polsko-litewskiego zawsze mówili i byli z tego dumni, że ci ludzie, mimo, że publicznie głosu nie zabrali jeszcze, niewątpliwie ideę tę odważnie podejmą i zastąpią przed śmiertelnym ciosem, jaki mogłyby jej zadać ostatnie wydarzenia.

Eugenjusz Gulczyński.

(Przyp. Red.) Nie na wszystkie poglądy autora godzimy się bez zastrzeżeń, jednakże przewodnią myśl artykułu, że ze ściernią Marsz. Piłsudskiego zatarg polsko-litewski przybrał odmienny charakter, podzielamy w zupełności.

Emocjonujący Wilno w ciągu tygodnia proces t. zw. Lewicy Akademickiej zakończył się w poniedziałek 13 b. m wyrokiem uniewinniającym większość oskarżonych. Z 11 oskarżonych o działalność komunistyczną skazani zostali na kilkoletnie więzienie tylko trzech: jedyny w tym gronie Litwin—Drut- to, jeden z trzech Białorusinów—Smal i jedyny Żyd—Liwszyc.

Na czym polegała wina tych trzech podsądnych, wyróżnionych przez Sąd spośród całego gremjum oskarżonych, dowiemy się po ogłoszeniu motywów wyroku.

Wacław Łastowski.

(Wspomnienie).

Jestem pod świeżym wrażeniem wiadomości o śmierci Wacława Łastowskiego. Należał bowiem do ludzi, mimo których obojętnie się nie przechodzi. Miał wrogów, ale miał i przyjaciół, lekceważyli go złośliwie jedni, cenili tem więcej drudzy. Człowiek idei. Wierny jej jednej przez całe życie. Ciągłe a bezinteresownie będący w jej służbie. Tą ideą była Białoruś, jej odrodzenie. Służył jej dwojako: jako jeden z najwybitniejszych działaczy kulturalnych i jako pełen temperamentu, fantazji i uporu polityk. Niesporna rzecz, że zasługi jego na polu pracy kulturalnej znacznie przewyższają wyniki prac politycznych. I jedne i drugie trzeba dziś zacząć podsumowywać, by stworzyć wreszcie obraz syntetyczny człowieka, któremu było na imię Wacław Łastowski.

Przeżył on czasów wiele, bo pracował w Wilnie, w Kownie, w Rydze, w Mińsku, na zesłaniu,

chyba w więzieniu nawet, i to aż po katastrofę skazania na śmierć, bo praca dla Białorusi była dlań pasją serdeczną, potrzebą wewnętrzną i musiem codziennym. Człowiek zamierzeń wielkich, o umyśle lotnym a śmiałym, napewno wykonał w życiu część zaledwie znikomą swych pomysłów, planów, projektów, chociażby tylko literackich i wydawniczych. Gdy rozglądam się wokół, nie widzę dziś wśród Białorusinów nikogo, kto by dorównał Włastowi w jego patosie i entuzjazmie dla pracy kulturalnej. Sam gorzał tym ogniem i innych zapalał, wszystkich zaś rozgrzewał.

Samorodek i samouk, odcytany i rozwinięty, zdolny i utalentowany, tylko w małym stopniu zawdzięczał swój rozwój i wiedzę szkole, gdzie zresztą wcale niedługo wycierał ławy. Uczył się jednak ciągle, póki żył. Pracom jego wytknie z łatwością krytyk jakieś potknięcie się metodologiczne, jakieś niedociągnięcia w technice pisarstwa naukowego, stwierdzić jednak będzie musiał ogrom materiału zebranego, przemyślenie samodzielne tematu, wnioskowanie oryginalne, nieraz podmiotowe, lecz zawsze godne uwagi, a naprawdę ciekawe. Czasem mógł się wybić, unieść się zdaleko w stawianiu hipotezy lub wyciąganiu wniosków, nie wiem atoli czy również często nie mylą się zawodowcy naukowci, profesorowie uniwersytetów, akademicy patentowani, gdy piszą o przeszłości zamierzchlej...

*

Poznałem W. Łastowskiego na szpaltach warszawskiego „Świata”, który przed wojną pierwsze stronicie zwykł był poświęcać wywiadam z przedstawicielami grup najróżnorodniejszych: etnicznych, politycznych, społecznych, literackich, artystycznych... W tej kolejności ukazał się raz wywiad z przedstawicielami społeczeństw litewskiego i białoruskiego w Wilnie. Poczytny, a wolny od tendencji endeckich tygodnik warszawski dał wtedy w owalu podobiznę Własta i kilka kolumn z nim wywiadu, skąd się można było dowiedzieć, co się dzieje u Białorusinów w Wilnie i na prowincji i ku czemu aspirują.

Osobiście poznałem Łastowskiego czasu wojny światowej w Wilnie, gdy powzięto szczęśliwą myśl rozszerzyć białoruską platformę polityczną, zachęcając do przystąpienia dalej stojące od białoruskiego ruchu czynnego osoby i grupy.

Bywałem potem nieraz w „Kniharni“ Białoru-

6) W miarę potrzeby, zostanie nadto zaangażowana do pensji guwernantka.

Szkoła Żelwerowicza, jak widać, nie miała być zamkniętą pensją, połączoną z internatem dla wychowanków, według wzoru istniejących wówczas w Wilnie pensji polskich. Było to zresztą zrozumiałe ze względu na wyznaczenie kierowników zakładu.

Kuratorjum zatwierdziło program Żelwerowicza i dnia 29 kwietnia 1961 r. wydało mu zezwolenie na otwarcie pensji, pozostawiając ją pod nadzorem Dyrektora Szkoły Rabinów.

Nowa placówka wychowawcza nie miała jednak powodzenia — Żydzi wileńscy jej nie poparli i po dwu latach istnienia Żelwerowicz zmuszony był do zlikwidowania szkoły. W piśmie do Dyrektora szkoły Rabinów z dnia 15 czerwca 1863 r. Żelwerowicz tak przedstawia stan pensji:

„W ciągu dwóch lat wyteżyłem wszystkie swoje siły uczyniłem duże wydatki, aby móc utrzymy-

wać szkołę. Niejednokrotnie pożyczyłem sobie pieniądze na wypłacenie nauczycielom. Mimo tego jednak wszystkie moje wysiłki nie spotkały się z poparciem ze strony Żydów. Przrzeczonego wpisu nie wpłacają regularnie, przyczem potrącają za święta oraz za lekcje, przepuszczone z winy uczenic. Liczba zgłaszających się do pensji nie powiększa się. W tych warunkach — konkluduje smutnie Żelwerowicz podanie o zamknięciu pensji — bez subsydjum rządowego i nie mając własnego kapitału, nie jestem w stanie dalej prowadzić szkoły”..

*

Tak się zakończyła oryginalna z przed blisko 75-u lat próba pedagoga polskiego Maksymiljana Żelwerowicza w Wilnie.

Pinchas Kon

skiej przy ul. Zawalnej 7, dobrze wspomnianem przez Białorusinów miejscu pogawędek i zebrań o charakterze prywatnym, gdzie pełno było dokoła wszelkich zabytków, a nieprzewietrzona aura nasiąknięta była stale miłą dla każdego biblijofila wonią starych, a oprawnych w pergamin lub skóry foljałów i rękopisów. Ileż tu odbyło się dyskusyj! Ile przyniesiono z miasta i prowincji nowin i plotek, budzących raz nadzieję, to znowu niepokój!

Włast był dobrym, serdecznym człowiekiem. Drugą cechą Własta była jego delikatność, usługowość. Nic łatwiejszego jak w zaraniu jakiegoś ruchu narodowościowego ściągnąć na siebie zarzut szowinizmu. Nie słyszałem, by go stawiano temu niepospolitemu Białorusinowi. Owszem, wiem nawet o przyjaźni jego z Polakami, o kontaktach bliższych z dr. Basanowiczem i in. Z wyjątkiem paru może osób, do nikogo nie czuł on żalu lub rozgoryczenia.

Będąc wyznawcą kierunku socjalistyczno rewolucyjnego W. Łastowski wolny był całkiem od wszelkiej ciasnoty partyjnej, doktrynalnej, miał natomiast szeroki umysł i równie szeroko otwarte na świat oczy badacza i myśliciela. Rozumiał wszystkich i wszystko. W tem należy upatrywać przyczyny zjawiska niecodziennego, że tak politycznie zaangażowany Włast żył w przyjaźni z paru księżmi, m. in. ze szwagrem b. prezydenta Wojciechowskiego, znanym w Wilnie katechetą gimnazjalnym, ś.p. ks. Kaz. Kiersnowskim i z żyjącym dziś poetą białoruskim ks. J. Siemaszkiewiczem, a z innymi w stosunkach zawsze najlepszych. Doceniał też znaczenie pierwiastku religijnego, tak w pracy wychowawczej (*Zołak*), jak wydawniczej (*Krywiczanie*) i trafnie ujmował doniosłość hipotetyczną dobrze prowadzonej na Białorusi akcji unijnej. Pięknie zegnał w Kownie przemową żalobną znanego sobie jeszcze z Wilna ś.p. arcybpa Matulewicza. Nie chcę przez to powiedzieć, że w życiu osobistym i działalności politycznej Własta nie było czasem z tej drogi pewnych zbroczeń, w dużej jednak mierze tłumaczyły się porywami serca i żywej wyobraźni, jaka go pchała nieraz do realizowania na poczekaniu lub do zawierania sojuszków niebezpiecznych i koncepcyj niedość przemyślanych. Przy tem wszystkim był to polityk o czystych rękach. Nigdzie żadnego interesu osobistego nie szukał i nie zrobił. Takim był w Warszawie, jakim w Kownie i Rydze, nie innym w Berlinie, jak w Paryżu. Wierny temuż oczywiście pozostał w Mińsku, za co wkońcu zapłacił przedwcześnie zgaszeniem życia.

*

Wielorako był uzdolniony. W pewnym sensie, jeśli chodzi o zamiłowania dyletanckie, nawet uniwersalny. Nigdzie jednak nie był partaczem, pracował składowo i ładnie. Ratowało go to, że sił swoich ostatecznie nie przeceniał. Uniosłszy się na skrzydłach wyobraźni za wysoko, zniżał się potem, by przyjrzeć się drodze przebytej i popełnionym na niej błędom, skąd czerpać chciał naukę na przyszłość. Nikt chyba Własta nie nazwie politykiem realnym, lecz powiedzmy, czy zrywający się do odrodzenia Białorusin mógł być wtedy nim? Ruch białoruski miał w swem zaraniu wszystko przeciw sobie, nic za sobą. Że w takich nawet warunkach Łastowski potrafił nieraz być realistą świadczy chociażby to, że piętnował nieraz przerost u Białorusinów efemerycznych organizacji słowami: *chwasty na lik...* (w dawnych czasach hycle pobierali opłaty z magi-

stratu według ilości okazanych ogonów psich, które mogły być czasem nie autentyczne).

Włast z konieczności uwielokrotniał się przez całe życie. Pisał poezję, rozumie się asonansowe. Był w nich polot, czy był kunszt pełny? Napewno niemniejszy, niż w dzisiejszej polskiej awangardzie poetów, co produkuje się w niezliczonych już dodatkach do gazet, a niekiedy nawet w „Wiadomościach Literackich”. Był historykiem dziejów narodu białoruskiego, jego piśmiennictwa, kultury, folkloru... Wybitnym też był znawcą słownictwa białoruskiego, istną jego kopalnią (zmagazynować jednak swej wiedzy nie zdążył, bo w wydanym słowniku brak przypisów niezbędnych).

Jął się z potrzeby również zadań praktycznych i zorganizował ochronę, kolonje letnie, wcale udatny teatrzyk dziecienny, którego debiutem szczytowym a publicznym było wystawienie starobiałoruskiego misterjum pasyjnego... Urabiał bezwiednie ludzi na swoją modłę, a więc nauczycielstwo, ochroniarki, służbę..., tak że wszystko to długo potem tchnęło jeszcze duchem, jakim żył Włast i jego najbliżsi.

Zawsze serdecznie życzyłem Włastowi, by wrócił do Wilna, by gdziekolwiek, tu lub tam, danemu mu było przed śmiercią popracować jeszcze kulturalnie dla Białorusi, dzieląc się z nami tem, co zebrał w takiej obfitości z dziedziny folkloru białoruskiego, jakiego niezrównanym znawcą był dziś, po odejściu ze świata całej dawnej generacji tak polskich, jak rosyjskich badaczy.

Kto wie, czy ta ofiarna śmierć Własta z ręki prześladowców nie jest dlań stokroć piękniejszym końcem życia ziemskiego, niż powolne gnicie skazanego chorobą człowieka w łóżku, które dla niejednego staje się, według Heinego właśnie *Matratzen-gruft'em*.

Boleść i smutek z powodu zgonu Wacława Łastowskiego powiększa ta jeszcze okoliczność, że bogate jego zbiory i całe archiwum najpewniej uległy rozproszeniu i zniszczeniu.

Zgon Własta, podobnie jak lwana Łuckiewicza, jest kamieniem granicznym, rzuconym tam, gdzie się kończy okres „naszaniwski” ruchu białoruskiego. Odszedł tak już drugi jego epigon.

Ad. Sołoduch.

Z mego notatnika.

Kompromitacja p. Cata.

Można byłoby wydawać specjalne pismo codzienne, wypełniane wyłącznie sprostowaniami i komentarzami wszystkiego tego, co wygłasza z wielką pewnością siebie, a małą znajomością rzeczy na szpaltach „Słowa” p. Cat-Mackiewicz. Materiałuby nie zabrakło. Wszakże w numerze noworocznym „Słowa” ukazała się wzmianka, że p. Mackiewicz w ciągu r.1935 wydrukował aż 125 artykułów wstępnych, a statystyka ta, zdaje się, nie uwzględnia licznych jego notatek, uwag, polemik etc. Niemal każda zaś enuncjacja p. Mackiewicza zawiera jakiś błąd, jakąś nieścisłość, jakieś twierdzenie, nie wytrzymujące krytyki.

Ponieważ jednak takiego pisma niema, wypada poprzestać na wytykaniu od czasu do czasu grubszych jeno objawów ignorancji naczelnego redaktora „Słowa”. Do tych należy przedewszystkiem zaliczyć twierdzenie parokrotnie już przezeń powtórzone, że

forma w Litwie jest niezgodna z językiem polskim, jest niezgodna z literaturą polską, ponieważ Mickiewicz napisał poemat p.t. „Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie”. W przekonaniu p. Cata „głupowatą formę „w Litwie” wprowadzili Litwini Kowieńscy, którzy ubzdurali sobie, że forma *na* jest czemuś upokarzająca”. Zdaniem p. Cata, Mickiewicz zawsze pisał *na Litwie*, nie wolno zaś zmieniać form językowych dla czyjegoś głupiego kaprysu.

Cały długi wywód p. Cata na temat poszanowania tradycji językowej byłby na miejscu, gdyby nie ta drobna okoliczność, że p. Cat jest słabo obeznany właśnie z literaturą polską. P. Cat zna „Pana Tadeusza” z tytułu, ale nie pofatygował się przeczytać „objaśnień” poety do swego utworu. Gdyby zajrzał do nich, toby znalazł takie oto autentyczne słowa Mickiewicza: „Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na Jasnej Górze w Częstochowie. *W Litwie* słyną cudami obrazy N. P. Ostobramskiej w Wilnie etc.”. W innym miejscu znów czytamy: „*W Litwie* jest zwyczajem, iż osobom poważnym nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny...” Jeszcze dalej „*W Litwie* za wkroczeniem wojsk francuskich i polskich zawiązano powojództwach konfederacje...”

Formy w Litwie używał stale Kraszewski w swej historii Wilna, Jaroszewicz, Narbutt, Chodźko („Któż w Litwie nie zna starego Muchina!”), często Syromkła, który pisał „w Litwie” i „na Litwie” w zależności, jak tego wymagał wiersz, i wielu, wielu innych pisarzy naszych. Michał Römer wszędzie „w Litwie” w swem studjum o odrodzeniu Litwy, wydanem w roku 1906, a więc wtedy, gdy jeszcze nikomu nie przychodziło na myśl dzielić Litwinów na „kowieńskich” i „wileńskich”. Słowem cała filipika p. Cata przeciwko formie „w Litwie”, rzekomo narzucanej przez Kowno, oparta jest na nieznamości ojczystej literatury i świadczy tylko o niezwykłym jego tupecie, z jakim zawsze feruje swe apodyktyczne wyroki.

Powolywanie się zaś p. Cata na p. p. Miedzińskiego, Strońskiego i innych współczesnych literatów i publicystów warszawskich, którzy istotnie posługują się wyłącznie formą „na Litwie”, jest mocno ryzykowne. Nie są to żadne autorytety lingwistyczne, czego dowodem przytoczone przez p. Cata wyrażenie: „Wsiadł na rączy koń”. Użył go właśnie znany poeta Leśmian, obecnie członek Akademii Literatury. Byłem kiedyś świadkiem dyskusji na ten temat pomiędzy Leśmianem a nieżyjącym już poetą Słońskim. Leśmian gorąco bronił swego nowotworu...

Osobliwa apelacja.

W połowie listopada ub. r. zapadł wyrok sądu obywatelskiego, złożonego z arbitrow p. p. St. Bagińskiego, E. Kozłowskiego, Wł. Wiszniewskiego i S. Wysłoucha oraz superarbitra Br. Krzyżanowskiego w sprawie zatargu pomiędzy p. p. Radosławem Ostrowskim, dyrektorem gimnazjum białoruskiego (ściślej filji przy gimnazjum J. Słowackiego) z jednej a Antonim Łuckiewiczem, Włodzimierzem Samojłą i Antonim Trepką z drugiej strony.

Wyrok ten pominięliśmy milczeniem gdyż został on ogłoszony w miejscowej prasie codziennej. Nie poruszałbym tego tematu i obecnie również, gdyby nie fakt niebywały bodaj w dziejach społeczeństw kulturalnych, a mający znaczenie szersze i ogólniejsze.

Punkt drugi wyroku powiada, że „stosunek p. Ostrowskiego do studentów w korporacji „Skorynia” był demoralizujący pod względem społecznym”. Że powyższe surowe orzeczenie było najzupełniej uzasadnione, tego dowodem wydana w grudniu ub. r. przez grono b. korporantów owej „Skorynii” jednozdniówka w języku polskim p. t. „Mówią młodzil”, w której wyrok Sądu Obywatelskiego został ostro skrytykowany, przeciwstawiony zaś mu został „Protokół”, podpisany przez 12 osób, pozostających w bliskich stosunkach z p. Ostrowskim, który to protokół przekreśla wyrok Sądu Obywatelskiego i stwierdza, że „osoba p. Ostrowskiego cieszy się wielkim szacunkiem i autorytetem”.

To jest przecież niesłychane, aby grono, złożone z przyjaciół i osób, pozostających w stosunku służbowej zależności od jednej ze stron, uzurpowało sobie prawa jakiejś instytucji apelacyjnej w stosunku do Sądu Obywatelskiego, powołanego przez obie strony na zasadach, ogólnie przyjętych w środowiskach kulturalnych i społecznie zdyscyplinowanych! Jedyną dodatnią stroną korporacji studenckich jest właśnie wdrażanie przez nie swych członków do życia zbiorowego, unormowanego przez te lub inne kodeksy honorowe. A niema takiego kodeksu honorowego, któryby pozwalał na lekceważenie wyroków Sądów Obywatelskich i jednostronne ich unieważnianie. Nawet tego nie nauczyła swych członków b. korporacja „Skorynia”.

Ale niedość tego. Wśród podpisanego pod jednozdniówką „Kolegium Redakcyjnego” (a częściowo i pod „Protokółem”) figurują trzy nazwiska prawników, którzy otrzymali dyplomy, dające im możliwość zajmowania odpowiedzialnych stanowisk w sądownictwie. Czy ci młodzi prawnicy białoruscy, wychowankowie U. S. B., zdają sobie sprawę, że podpisując jednozdniówkę, zawierającą artykuł „Dwa wyroki” uchybiają tem samem elementarnemu poczuciu praworządności i etyki społecznej?

Czyż może być mowa o równorzędności *dwóch wyroków* tam, gdzie jeden jest werdyktem Sądu Obywatelskiego, wybranego swobodnie i dwustronnie z zachowaniem wszystkich przepisów obowiązujących, na straży których stał w charakterze superarbitra wybitny działacz społeczny i dziekan palestry wileńskiej mec. Br. Krzyżanowski, drugi zaś stanowi spreparowany aż nadto wyraźnie przez przyjaciół i podwładnych p. Ostrowskiego panegiryk, celem podtrzymania zachwianej nieco w oczach władz szkolnych pozycji jego, jako kierownika młodzieży białoruskiej?

A jednak trzech młodych prawników białoruskich, magistrów Wszechnicy Wileńskiej, (z których jeden piastuje urząd sędziego śledczego) swemi podpisami stwierdza publicznie, że jednostronny „Protokół” ma dla nich większą wagę, niż wyrok Sądu Obywatelskiego.

Widocznie przywiązanie do osoby p. Ostrowskiego przeważało w nich skrupuły zarówno natury jurydycznej, jak obywatelskiej. A może tych skrupułów wcale nie mieli? Świadczyłoby to dobitniej o skutkach ujemnych wpływów p. Ostrowskiego na młodzież, niż wszystkie wyroki i orzeczenia.

Licz.

Było to przewidzenia, że artykuł nasz p. t. „Mocarstwowcy“, charakteryzujący wileńską młodzież, popisującą się co tydzień na szpaltach „Słowa“ swemi buńczuczniemi, a mocno niedojrzałemi poglądami, wywoła ze strony wymienionych w artykule autorów niegrzeczne uwagi. Można było tylko mieć nadzieję, że, pomijając ton, będą zawierały chociaż odrobinę sensu i orientacji w rzeczach polityki i publicystyki. Niestety ta nadzieja zawiodła. Młodzi „mocarstwowcy“. jak widać, nie mają zielonego pojęcia ani o przeszłości naszego kraju, ani o teraźniejszych stosunkach. Nie orientują się zupełnie w kierunkach i programach. Nie rozumieją ani tego, co o nich piszą, ani nawet jak się zdaje—tego, co sami piszą. Nie wiedzą wreszcie, że za artykuły wstępne, niepodpisane odpowiada redaktor pisma i prawią duby smalone o „drobnomieszczańskiej psychice“ (?) i tchórzostwie anonimowego, jak im się wydaje, autora artykułu „Mocarstwowcy“. Przy całej pobłażliwości dla niedoświadczenia, niewyrobienia pisarskiego i erudycji młodocianych autorów, nie sposób traktować ich elukubracją inaczej, jak dziecinady, niestety, trochę spóźnionej i niestosownej u słuchaczy uniwersytetu.

Pozostaje więc tylko oświadczyć im: *Discite pueri!* I nie marnujcie czasu na przedwczesne występy publiczne.

FELJETON.

Frontem do szarego człowieka.

— *Ej, czełowiek, skazi pożałujsta, poczemu, sobstwiennio goworia, tiebia zowut czełowiekom?...* — pyta przed wojną w resteuracji jakiś podpily graf czy kniaz kelnera, czyli jak go wówczas nazywano „oficjanta“.

— *W etliczje ot gostiej wasze sijatielstwo!...*

— Powiedz że mi, szary człowieku, dlaczego to ciebie nazywają „szarym człowiekiem“?...

— Wiadomo, dlaczego. Aby nas szarych odróżnić od panów...

— A jacyż to są panowie?...

— Pany, wiadomo, kto teraz pany, Tacy co rządzą, rozkazują. Pan Starosta — to pan ważny na cały powiat. Ale ważniejszy od niego tak będzie sekwestратор. A już najważniejszy był sekretarz od Bebe. Coś go teraz nie widać. Musi być czasowo w odstawkę posłali...

— No to nie tak wielu znów macie panów?...

— Jak to nie wielu, a soltys, a wójt, a pisarz, a wszystkie urzędniki z gminy, których dawniej nie-bywało, a komendant posterunku, a konfident, a wywiadowca, a komendant strzelca, a chmara urzędników z Ubezpieczalni z Inspektoratu Pracy, z Urzędu Ziemińskiego, a kto ich tam wszystkich wyliczy. Strach teraz kamieniem rzucić, żeby nie trafić w pana...

— Przecież dawniej było więcej panów?...

— To byli inne pany, ci, co byli bogaci. Ziemi dużo mieli i służyło u nich dużo naszego brata i nie najgorzej mu się działo. A teraz tamte pany też na szare ludzkie zesзли i ledwie-ledwie przebijają się. Całkiem zmarnieli. A zato taki, co choć kawałek władzy w rękę trzyma, tak do niego nie przystępują... Teraz pan całą gębą, Takiego trzeba się słuchać, a to inaczej zaraz grzywna od starosty, kara od sądu, ciąganina z policją i może być bardzo nieprzyjemnie.

— A wy wiecie, że teraz dla was nastaną dobre czasy, nie to co było. W sferach rządowych, powiedziano, że trzeba się zwrócić „frontem do szarego człowieka“.

— Uuu, źle... Uuu, niedobrze, panoczku...

— Dlaczego?...

— Wiadomo, dlaczego. Póki stali oni do nas zadem albo też bokiem, to jakoś się żyło i można było dyszeć, ale jak władze staną do nas frontem i zaczną nami komendować, tak o niczem innym nie będzie można myśleć, jak tylko aby władzom ugodzić..

— Przecież to dla waszego dobra?...

— Hm, komu dobro, a komu — nie. Jak pany będą się bardzo o nas teraz niepokoić, kiedy taka moda przyszła, tak koniecznie nie zadarmo. Pieniądzów na to będzie potrzeba. Wiadomo, za każdą opiekę trzeba płacić. A my, szere ludzkie, my już przywykły bez opieki. Aby nam tylko nie przeszkadzali...

— Czegoż więc chcecie od władzy?...

— Niechaj ona będzie zdrowa i niech żyje w spokoju.

— To niewiele wymagacie...

— A co tu wymagać?.. Jak władza nie umiała tak zrobić, żeby pracowity człowiek miał z czego żyć, żeby miał na naftę, na zapałki, na sól, na cukier dla dziecka, jak władza przysłała nam urzędników i nauczycieli, co nawet mówić po ludzku nie umieją, a gadają tak, że ich nie zrozumiesz...

— To właśnie oni po polsku dobrze mówią.

— Nieprawda, panoczku, nieprawda. To my tu mówimy dobrze, jak mówili nasze dziady i pradziady a oni nic w tem nie rozumieją. Mówisz do takiego, jak się należy: odryna, albo żywioła, a on tylko śmieje się i pyta, co to znaczy. Toż i dzieci nasze nic nie mogą zrozumieć nauczyciela, bo on nie zna naszego języka. Tak poco tu przyjeżdża?...

I rób co chcesz z takim. Ani on władz nie rozumie, ani władze jego zrozumieć nie mogą. I cóż tu pomoże zmiana frontu? Trzeba wpiery znaleźć wspólny język.

Bolesław Szyszkowski

Na marginesie wystawy pośmiertnej A. Zastrowa.

W ostatnich dniach ub. r. w sali Kasyna Garnizonowego w Wilnie zamknięta została pośmiertna wystawa obrazów ś. p. Alfreda Zastrowa. Sala ta wiele widziała. Tu wojenny sąd rosyjski ferował nieraz wyroki śmierci na rewolucjonistów, tu stawiła pierwsze kroki litewska Taryba. Ozdobiona dziś plafonami art. mal. Horyda, nie straszy już upiorami ofiar długiej walki z rządem carskim, ani prowokuje endeków swą krótką przeszłością litewską. Od szeregu lat jest przybytkiem nietylko zabawy tanecznej i gry karcianej, lecz też mieściła już niejedną wystawę malarską. Spełnia więc obecnie częściowo doniosłe zadanie szerzenia piękna.

W r. 1915 przybył do Wilna młody kapitan armji niemieckiej Alfred Zastrow. Tytu widzieliśmy czasu okupacji takich wytwornych, z monokiem w oku, a trzymających się *stramm* oficerów. Pod ochronnym jednak *feldgrau* mundurem przybysza kryła się niepospolita, głęboka, artystyczna dusza. Fala wypadków wojennych przeszła wtedy mimo Wilna i uderzyć musiała subtelnego artystę cisza wileńska, jaką tu niebawem znalazł po zgiełku życia na froncie. Śmiemy wypowiedzieć na tem miejscu przypuszczenie, że oficer niemiecki o drażniącym ucho słowiańskie, jakby pokrewnem mu brzmieniu nazwiska, był typowym pietystą, jakich spotyka się niejednokrotnie wśród wysuszonego przesterem racjonalistycznego krytycyzmu protestantyzmu pr-

skiego. Wiele w życiu Zastrowa, jeśli nie wszystko, tłumaczy właśnie takie jego nastawienie do świata i ludzi. Pamiętamy sami z czasów okupacji przygodną znajomość zadzierzgniętą pewnego wieczoru letniego u stóp Góry Zamkowej z podobnym mu młodym teologiem protestanckim, który też był żywo pociągnięty swoistym urokiem Wilna i niezwykle ciepło mówił o nawskroś uczuciowej religijności jego mieszkańców.

Trafnie ujął istotę przeżycia wewnętrznego art. Zastrowa z r. 1915, prof. Ferdynand Ruszczyc, mówiąc o nim krótko: *Przybył do nas z obcego kraju, a tak odrazu sercem całym przyłgnął do nas, do tej ziemi, którą ukochał i której chciał służyć całą siłą swego talentu i swej pięknej duszy* (wstęp do pięknie wydanego ilustrowanego przewodnika po wspomnianej wystawie).

Zniemczyły i zlutrały ten ślązak pokochał nasz krajobraz wileński i począł uprawiać malowanie charakterystycznych sylwetek dziadów, bab i dzieci wileńskich. Zawsze umiał on głęboko przejmować się troskami i radościami ludzi „tutejszych” — ze wsi i z miasta. Wyczuł bowiem słusznie, że miasto zmienia głównie wygląd zewnętrzny napływającego ludu okolicznego, zostawiając nietkniętym nierzadko sam jego rdzeń. Uzasadniał on wobec siebie samego zainteresowanie to pewną widzianą w ludzie naszym subtelnością uczuć, idealizmem głębokim w stosunku do pracy, bez której wielu poprostu nie rozumie życia, religijnym niemal stosunkiem do ziemi i rolnictwa. Że z tem szło w parze ukochanie przyrody tutejszej, łagodnej i pełnej cichego wzoru, a nieraz smutku, przytem nie zniekształconej jeszcze przez wyścig techniki i egoizm przemysłu, rozumie się samo przez się.

Autorka życiorysu zmarłego malarza J. Adolpha, podkreślając, jak coraz to więcej chłonął Zastrow pierwiastków polskiej kultury, mówi o tragicznym zrzędzeniu losu, mocą którego artysta został poza nawiasem społeczeństwa polskiego, jakoby głównie wskutek nieznamościami języka polskiego. Otóż nie wydaje się to przekonywującym, a nawet prawdopodobnym. Zmarły artysta spędził w Wilnie czternaście lat (1915—1929), ożenił się jeszcze czasu okupacji z Polką, stykał się nieustannie ze społeczeństwem przeważnie polskim... Jeśli mimo to wszystko, nie nauczył się do końca życia po polsku, a był człowiekiem zdolnym, to siłą rzeczy narzuca się wniosek, że widać nie tak bardzo znowu chciał przyswoić sobie język swej drugiej ojczyzny, ani było jego zamiarem zasymilować się z nią całkiem, a bez zastrzeżeń. Zresztą zrozumiała to rzecz. Widziano w społeczeństwie wileńskim dobrze jego sympatje propolskie i czekano pogłębienia tego procesu przez zupełne zerwanie z niemczyzną i protestantyzmem. Nie nastąpiło atoli ani jedno, ani drugie! Pozostał Zastrow w głębi duszy najszlachetniejszym typem Niemca z okresu wiosny ludów. Również, mimo pewne sympatje dla liturgji katolickiej i sentymentu dla Madonny Ostrobramskiej, pozostał Zastrow do zgonu luteraninem. Z Polakami się przyjaźnił, lecz skromną pracę zarobkową mógł znaleźć tylko u Żydów. Zjednał sobie nawet tak trudny żywioł, jak współczesną młodzież żydowską, która go uważała niemal za świętego i gorąco doń była przywiązana. Zaangażowano go do polskich szkół dopiero na dobę przed zgonem

Wystawa cieszyła się miernym powodzeniem...

Sonderling

Z mego archiwum.

Latem r. b. upłynęło równo ćwierć wieku, jak na cmentarzu Antokolskim złożono na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Konstantego Majewskiego, kanonika gremjalnego kapituły wileńskiej. Postać to była nieprzeciętna i swego czasu bardzo głośna. Jako stały współpracownik słynnej „Roli” Jeleńskiego, będącej prototypem współczesnych nam niezliczonych wydawnictw „bogoojczyźnianych” o wybitnym zabarwieniu antysemitycznym, ks. Majewski miał w kołach inteligencji postępowej ustaloną opinię wsteczniaka i obskuranta. Z drugiej jednak strony nie cieszył się popularnością również w konserwatywnych sferach katolickich powodu swego charakteru, nieskłonności do żadnych kompromisów. Swem ciętym piórem i słowem nieraz dotkliwie godził w środowisko arystokratyczno-ziemiańskie, nadające przed r. 1905 ton życiu towarzysko-społecznemu Wilna.

Toute proportion gardée, był to swego rodzaju Savonarola wileński, chociaż wskutek warunków cenzuralnych działalność swą publicystyczną zmuszony był rozwijać w Warszawie. Pełny jego życiorys z uwzględnieniem obszernej jego korespondencji odstłoniłby niejedną ciekawą kartę z przeszłości przedwojennego, a jeszcze bardziej przedrewolucyjnego Wilna.

Mając zaledwie cząstkę tej korespondencji, nie kuszę się o odtworzenie całkowitej sylwetki ks. Majewskiego. Na razie poprzestaję na przytoczeniu paru wyjątków z posiadanych przezemnie listów, dających pojęcie o jego stosunku do zagadnień krajowych, w których, niestety, nie zdobył się na stanowisko oryginalne, na pogląd samodzielną, ulegając w tym jednym bodaj względnie panującym w społeczeństwie polskim prądom i nastrojom.

Dn. 11.X.1908 pisał ks. Majewski do swego przyjaciela, też literata, ks. M. R., co następuje: „X. Rządzący diecezją we środę wieczorem, wobec zgromadzonego duchowieństwa, kapituły (ja z powodu choroby nie byłem), oświadczył, że chcąc zbadać, o ile skargi Litwinów i ich wymagania są słuszne, zarządza we wszystkich parafjalnych kościołach m. Wilna litewskie kazania o godz. 10 rano, przez trzy niedziele z kolei. Na proboszczów zaś wkłada obowiązek, żeby obecnych w kościołach dokładnie spisali, z wyznaczeniem miejsca zamieszkania. Okazuje się tym sposobem — wedle jego zdania, — ilu jest mianowicie w Wilnie mieszkających (Litwinów) i w jakich kościołach potrzebne są litewskie kazania i nauki. Byłby to sposób może i dobry, gdyby był wykonany rychło, to jest przy zbiegu dwóch dni świąt — w jeden dzień o tem z ambon zapowiedzieć, a w następnym litewskie kazania mówić. Ale ponieważ we środę już o tem u Rządzącego ogłoszono, ponieważ ogłoszono o tem i w gazetach, ponieważ ogłoszą o tem jutro ze wszystkich ambon, to sędzę, że cała(!) Litwa i Żmudź zjedzie się za dwa tygodnie do Wilna i zapełnią wszystkie kościoły po brzegi, także spisać ich będzie niepodobieństwem. Będzie tylko całemu światu wiadomo, że Wilno jak było za Gedymina, tak i dziś jest czysto litewskim”. Wkrótce potem pisał bez daty: „Wczoraj odbywały się zapisy po kościołach ludności litewskiej. Jak jest, czy będzie z tego wynik? — nic nie wiem”. Nie sprawdzili się oczywiście przewidywania się ks. M., ale też i zarządzenie władzy dla wielu przyczyn chybiło celu, nie wyjaśniło bowiem dokładnej liczby Litwinów w Wilnie i nie wniosło uspokojenia pożądanego.

Ks. M. żywo się interesował sprawami narodowościowymi u nas i zabierał głos w prasie polskiej z powodu *litewsko-polskich stosunków*. „Potrzebę, i to gwałtowną, potrzebę wystąpienia w tej sprawie ja przynajmniej czuję, tem bardziej, że milczenie przed rokiem 1863 fatalne miało skutki nie tylko dla społeczeństwa, ale i przede wszystkim dla Religji i Kościoła, tylko rzecz cała w tem, że wystąpienie musi posiadać cechy takie, na jakie nie każdemu i nie zawsze zdobyć się udaje. Właśnie poczucie tej potrzeby z jednej strony, a trudności zadania z drugiej pozbawia mię równowagi ducha i siły osłabia... Potrochu przerabiarn, ale idzie to jak z kamienia”... (Z listu z 24.II—3.III).

W innym liście (6.XI.1905) ks. M. pisze: „Z racji mego artykułu..., otrzymałem wczoraj od kolegi ks. Ejdynta ze Żmudzi podziękowanie, że napisałem to, co on w tej materji czuł i myślał zawsze. Między innymi rzeczami wypowiada on taki paradoks, który może i nie jest paradoksem: Ś. p. bp Bereśniewicz ożywiony był duchem kościelnym, szczepił go i pielęgnował w alumnach akademii, ale wysyłając alumnów (Królickiego, Baranowskiego i Symona) za granicę, pomylił się (I). Oni, wiacając do ojczyzny, przywieźli (sic) z sobą ducha nacjonalizmu. Ten duch przyjął się i rozwinął u nas. — Opowiada dalej, że był przypadkowym świadkiem, jak po wielu latach bp Bereśniewicz ks. Baranowskiemu z tego powodu powiedział: „*Nie tego ja spodziewałem się po tobie*”. Trudno zaprzeczyć, że toż samo możnaby było zastosować i do śp. Królickiego i do ks. arcyb. Symonia. Zbyt ni, nieumiarkowany patriotyzm zwichnął (sic) ich działalność kapłańską. Taki np. (ex ks. Edward) Miłkowski, jeżeli pojedzie do Ameryki, to będzie, wedle zdania ks. Symona, bardzo pożytecznym, bo choć w P. Boga nie wierzy, ale jest gorącym Polakiem”.

List ks. M. z 2.V.1905 dotyczy też spraw językowych w kościele. „Skombinowawszy rozmaite szczegóły ujawnione w gazetach, przyszedłem do przekonania, że zapowiedziane dopełnienia i objaśnienia do ukazu z 17 kwietnia (1905) będą dotyczyły języka, w jakim ma być prowadzony wykład religji i modły kościelne w tych miejscowościach, gdzie mieszkają Białorusini lub Małorusini, a to w celu zapobieżenia, żeby propaganda katolicyzmu nie stała się propagandą polonizmu. Będzie więc utrapienie z białoruskim językiem. Miejmy jednak nadzieję, że P. Bóg i z tych utrapień jakoś nas wyprowadzi”.

Zazdrośnie strzegło zawsze duchowieństwo polskie swej przewagi w tej dziedzinie, więc przewidywania ks. M. nie spełniły się i chłopska mowa wciąż stoi przed progiem babinca. Swoją drogą, jako pochodzącą z pod Mińska, ks. M. mowę białoruską znał dobrze, czego dał dowód w liście z d. 6.II.1907, gdy pisał w jednej sprawie: „*Moje więc zdanie jest takie jak śp. bp Staniewskiego: Siedzi u barosie, dy dyszy patrosie*” (znane białoruskie przysłowie).

Na pochwałę ks. M. trzeba powiedzieć, że gdy czas pewien proboszczował na jednej parafji litewskiej, sam dobrowolnie nauczył się języka litewskiego, co było na owe czasy dla księdza Polaka czynnem bohaterskim i wprost wyjątkowym. Polemizując nieraz ostro na szpaltach „Przeglądu Katolickiego”, z Litwinem ks. Dąbrowskim, przesyłał ks. M. przez wspólnych znajomych, swemu przeciwnikowi, acz młodszemu wiekiem i godnością, „*osculum pacis* za prowadzoną kiedyś polemikę”.

Karcił ks. M. również swych rodaków. Wyczy-

tawszy raz przechwałkę wierszowaną, a tchnącą poganizmem:

..... polska mowa
Cząstkę Boga w sobie chowa,

napiętnował ją z miejsca i pisał, że, jeśli to prawda, wolałby w takim razie być nawet Tatarzynem...

Archiwista.

Bibliografia.

„*Kałoście*”, zeszyt IV, r. 1935.

Przed samym końcem roku ubiegłego wyszedł zeszyt czwarty tego kwartalnika.

Dział literacki w ogólnych zarysach zmienił się mało, jednak w znaczeniu dodatkiem: przybyło kilka utworów w prozie, których brak odczuwał się poprzednio. Jeden z nich p. t. „*Jeszcze adna*” pióra Wik Reno czerpie temat z życia białoruskiego, łączący się z osobą pewnego działacza, ostatnio przez Sąd Obywatelski za działalność antyspołeczną napiętnowanego... Wiersze Arsienjewej, Maszary, Białozki stoją na dotychczasowej wysokości.

Znikły natomiast — w związku z ustąpieniem z redakcji szeregu pracowników — prace o charakterze naukowo-badawczym autorów, których imiona spotykaliśmy w trzech poprzednich zeszytach. Dział ten reprezentują: biografia etnografa białoruskiego M. Nikiforowskiego pióra M. Pieciukiewicza oraz artykuł ks. Wł. Tołoczki, poruszający nader interesujące zagadnienie narodowości prof. M. Bobrowskiego. Pierwsza z tych prac, oparta na źródłach przeważnie rosyjskich, wykazuje, iż Nikiforowski w swej działalności ujawniał znaczne już uświadomienie narodowe oraz ocenia jego zasługi zarówno naukowe jak i narodowe. Druga praca — ks. Tołoczki — na wstępie porusza zagadnienie, na które poglądy społeczeństwa i badaczy białoruskich są dotąd bardzo rozbieżne. Czy Unja służyła sprawie narodowej Białorusinów, jak twierdzą jedni, czy odwrotnie: była czynnikiem polonizacji ludu białoruskiego, jak dowodzą inni? Ks. Tołoczko stwierdził, iż mają rację — oczywiście, częściowo — zarówno jedni jak i drudzy. Okazuje się bowiem, iż zakonnicy unicy — bazylijanie — istotnie w swej działalności przyczyniali się do polonizacji Białorusinów, natomiast duchowieństwo świeckie gorąco się tej akcji przeciwstawiało. — Mówiąc o narodowości Michała Bobrowskiego, autor stwierdza, iż poglądy Bobrowskiego na jego przynależność narodową parokrotnie się zmieniały: w pewnym okresie nazywał siebie „*Ruthenus*”, potem — „*Polonus*”, aż wreszcie razem z metropolitą Siemaszką zerwał z polskością i przerzucił się do rosyjskiego prawosławia. Nie wyjaśnia jednak ks. Tołoczko, czemu obok narodowości białoruskiej Bobrowskiego podaje w nawiasach: ukraińska. Czyżby agresywność jednego z badaczy ukraińskich, który zaanektował sobie Bobrowskiego, przeszkadzała definitywnemu ustaleniu, co rozumieć należy pod samookrośleniem się tego chwijnego i zmiennego działacza, jako „*Ruthenus*”?!

Z dalszych artykułów publicystycznych na znaczenie zasługuje artykuł ks. Adama Stankiewicza p. t. „*Cieni i błęski*”, dotyczący pracy kulturalnej Białorusinów w Sowiecie — narodowej w swej formie i proletarjackiej w treści. Autor stwierdza, iż pomimo wszystkie tendencje, narzucane tej pracy

przez partję komunistyczną, ma ona i pewne cechy dodatnie dla sprawy białoruskiej. Niepotrzebnie jednak ks. Stankiewicz obciążył swój artykuł rozważaniami filozoficznymi na temat kultury i cywilizacji oraz materializmu i idealizmu, które nasuwają szereg poważnych zastrzeżeń. Ze względu na to, iż czytelnicy „Kałosie” nie zawsze zdolni są do krytycznego ustosunkowania się do podawanej w czasopiśmie treści i przyswajają ją *in verba magistri*, należałoby ostrożniej podawać definicje, nie mające sankcji naukowej.

Zeszyt kończą notatki bibliograficzne pióra W. G., dotyczące pierwszych dwóch tomów wydawnictwa „Zapiski Oddziału Humanistycznych Nauk” (Mińsk 1928 i 1930), obejmujących badania archeologiczne Instytutu Białoruskiej Kultury, przekształconego w Białoruską Akademię Nauk.

W związku z jubileuszem dwóch poetów białoruskich — Janki Kupały i Zmitroka Biaduli — przedrukowało „Kałosie” wiązanek ich utworów, poprzedzoną krótką notatką J. Szutowicza.

A. Ł.

Klauzner Izrael, mgr. *Dzieje starego cmentarza żydowskiego w Wilnie*. Wilno 1935.

Dużą lukę w naszej znajomości dziejów starego Wilna stanowi brak publikacji z zakresu historii Żydów wileńskich. Ma się wrażenie, że takich publikacji niema nawet ani w języku żydowskim, ani hebrajskim, nie mówiąc już o polskim i rosyjskim. Skrzętny bibliofil może mozolnie odnajdzie gdzieś a niegdyś drukowany jakiś artykuł, jakąś broszurę lub odbitkę. Jednak napewno będzie to już rzadkość bibliograficzna lub rzecz całkiem przestarzała albo ręką dyletanta przygodnego napisana.

Dzisiaj mamy tu do omówienia rzecz nową, istotnie źródłową a fachowo opracowaną. Właśnie w drugiej połowie r. 1935, wydano w Wilnie z zasiłku Żydowskiej Gminy, monografię starego cmentarza żydowskiego na Snipiszkach, tuż poza Wilją. Opracował ją p. Izrael Klauzner. Być może pobudką zewnętrzną a bliższą tej książki była tegoroczna naganka wiosenna na ten stary cmentarz, który już był upatrzony na miejsce dla urządzania na nim boisk sportowych. Nic jednak nie szkodzi, że zmysł szacunku dla przeszłości kojarzy się tu z potrzebami chwili bieżącej.

Pracę swoją autor wydał naukowo, więc zapażatem źródłowym, planem, ilustracjami i t.d., co razem wzięte ożywia książkę i zbliża do czytelnika przeszłość. Wydawnictwo to przeznaczone jest oczywiście dla Żydów i zawiera str. 114 tekstu żydowskiego, który jest dla nas, niestety, zamkniętą na siedem pieczęci księgą tajemniczą, oraz XXVIII polskiego. Szkoda, że polski podaje tylko zbyt już skąpe resumé i dziewięć aktów w odpisie. Z pierwszego dowiadujemy się, że cmentarz ten założono według podania z r. 1487, chociaż źródła wymieniają go po raz pierwszy w latach 1592—93. Stary kirkuł żydowski mieścił się na gruntach zamku wileńskiego i nieraz był drogą dokupów rozszerzany. Procesował się też niejednokrotnie z sąsiadującym z nim klasztorem Karmelitów Bosych. Na grodzie swego cmentarza Żydzi uzyskiwali pozwolenie od biskupów wileńskich Zienkowicza i Massalskiego, którzy należeli, obok królów i panów, do liczby ich protektorów.

Były jednak w przeszłości zawilejskich mogiłek żydowskich także momenty bolesne: oto konduktom

żydowskim groziły czasem napady ze strony ciemnej gawiedzi mieszczańskiej. Charakter szykany miał również nakaz płacenia „mostowego”, wzgl. „wozowego” od eksport żydowskich przy moście Zielonym. Oczywiście, wojny u nas niosły ze sobą też poniewierkę nie tylko dla miast żywych, lecz i dla tych „miast umarłych”. Tak, Francuzi w r. 1812 pasli bydło na tym cmentarzu, a w roku 1830 Rosjanie zamknęli go, obracając w rok potem część jego na cele świeckie. Ale mocne były tradycje jego, skoro w sto lat przeszło, na samą wieść o zamierzonej sekularyzacji tego cmentarza, poruszyło się całe Wilno żydowskie i zjednoczyło się w proteście wymownym, który w końcu osiągnął skutek pełny u władz. I nie dziw, skoro tu właśnie są groby najstarszych i najslawniejszych rabinów i gaonów wileńskich (Kremera, Zelmanowicza, Szulowicza, Hirszowicza i in.), słynnych działaczy społecznych (Łazewicza, Mejzera i in.) i znakomitych rodzin (Gordonów, Ginzburgów-Klaczków i in.). Na uwagę specjalną zasługuje grób Potockiego, który przyjął judaizm (zw. *Ger Cedek*, czyli sprawiedliwie nawrócony), położony pod drzewem o niezwykłym kształcie, które niedawno zostało podcięte.

Podane w odpisie dokumenty zawierają niejednen cenny a ciekawy szczegół do topografii dawnego Wilna.

as.

Lawingo Gustaw, *Ofiara serca*. Sieradz (b.r.).

Ten tytuł patetyczny nosi broszura niewielka, zawierająca opowieść historyczną z niedawnej przeszłości. Są to dzieje przeżyć byłego biskupa, a właściwie ostatniego łucko-żytomierskiego, dziś tytularnego, Ignacego Dub-Dubowskiego pod władzą bolszewicką. Przeżycia te same w sobie są ciekawe, jednak podane są w ujęciu i stylizacji tak naiwnej, przesadnej w entuzjzmie chwalczym, a obliczonej na czytelnika mało inteligentnego, że lektura tej rzeczy staje się wprost przykrą. Ktoś widocznie chciał bpowi Dubowskiemu przysłużyć się, może przypomnieć go ogółowi katolików polskich, może nawet utorować znowu drogę do jednej z wakujących stolic biskupich. Robota jednak nader tandetna a prymitywna popsła całe wrażenie, a może i skuteczność.

Bp Dub-Dubowski jest *gente Lithuanus* i w Litwie urodzony. Zapewne nie zapomnił jeszcze mowy litewskiej. Z Wilnem związany latami nauki szkolnej. Po wojnie polsko-bolszewickiej r. 1920 i utracie Żytomierza, został już tylko biskupem łuckim, na jakim stanowisku doświadczył w ciągu lat kilku, tyłu przykrości od otoczenia najbliższego, że przed dziesięciu laty, sam się zrzekł swego biskupstwa, motywując ten krok dla ogółu osobnym a szerzej rozestłanym drukiem.

Dzisiaj przebywa w Rzymie, wyjeżdżając czasem do Ameryki dla wizytacji naszej emigracji. Ze szpionów bolszewickich uratowała go armja atamana Petlury, dziwnie więc brzmi niechęć bpa Dubowskiego do Wielkiej Ukrainy.

Broszura powyższa jest mimo wszystko znamienna dla chwili obecnej i dlatego poświęciliśmy jej kilka tu słów.

Fid.

O co mi chodzi.

(Odpowiedź p. Marji Aleksandrowiczowej).

Wdzięczny jestem recenzentce „Włóczęgi” (Nr 5—1 z r. b.) za poparte tyłoma niezbitymi dowodami wytknięcie mi, że naprawdę zbyt już pobłażliwie potraktowałem w swej wzmiance sprawozdawczej „Przewodnik turystyczny po Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie” (J. Szukiewicza). Była to jednak z mej strony tylko pobłażliwość,—nie pochlebstwo. Co się tyczy entuzjazmu, którego dopatrzyła się u mnie p. M. A. więcej niż go było rzeczywiście, to takie moje ustosunkowanie się odnieść należy, oczywiście, nie do układu i treści „Przewodnika”, lecz do samego pomysłu wydania krótkiego, treściwego, zajmującego, a taniego „Przewodnika” po naszym kraju.

I nie będę tu wcale ukrywał, że żywo odczuwana potrzeba takiej właśnie publikacji istotnie czasem mię pasjonuje, a każda jej próba, nawet taka, jak Józefa Szukiewicza cieszy mię i napełnia nadzieją bliskiej realizacji dobrego pomysłu. Wszystkie więc moje pochwały były tu niejako wypowiedziane awansem, na kredyt. Bo czyż nie jest prawdą, że dosłownie wszystkie nasze przewodniki, tak po Wilnie, jak Wileńszczyźnie, są pisane i wydawane wyłącznie dla elity intelektualnej, która jest jedynym u nas konsumentem, wiedzy o Wilnie i Wileńszczyźnie. Tymczasem nasze warstwy mniej oświecone lub mniej zamożne korzystają z tego miłośnictwa Wilna i Wileńszczyzny tyle, co nic. Postaci rzeczy nie zmienia ten, kto powoła się na cykle wykładów z przeszłości Wilna lub czasem urządzone w południu w niedziele i święta wycieczki po miejscach pamiątkowych Wilna lub jego okolic, bliższych i dalszych. Trzeba znaleźć sposób, by taki popularny „Przewodnik” trafił do rąk szerokich mas. By wszędzie był czytany, rozumiany i lubiany, jako miły a wierny towarzysz wycieczek, łączących pożyteczne z przyjemnym.

Niemcy, co związali swą pamięć z Wilnem wydaniem artystycznym książki prof. Webera *Wilna. Eine vergessene Kunststätte*, puścili też rychło po zajęciu miasta, w obieg broszurkę: *Ich weiss Bescheid. Klainer Soldatenführer durch Wilna*. Czegoś podobnego, lecz zastosowanego do poziomu a gustów naszego czytelnika spośród pół i ćwierćinteligencji potrzeba nam dziś. Wszystkie nasze przewodniki po Wilnie i Wileńszczyźnie, nawet te małe, jak Mościckiego, H. Romer, Rydla, Życkiej i in, któreby zdaje się powinny łatwiej trafić wszędzie, przeladowane są balastem naukowym, szczegółami różnemi, pełne terminów niezrozumiałych dla ludzi mniej wykształconych, dygresyj literackich i t. d. i t. d. Więc i zadania swego spełnić żadną miarą nie mogą.

O to mi jedynie chodzi, i dlatego nie mam zamiaru i nie czuję się w prawie zbyt ostrą krytyką zrażać ludzi dobrej woli do podejmowania prób napisania takiego popularnego przewodnika dla szerokich rzesz, chociażby ich pierwociny były mniej fortunate.

Jedno pozwolę wytknąć recenzentce, to jej dowolne twierdzenie, jakoby dla autora każdego „Przewodnika” istnieje powszechnie przyjęty zwyczaj wskazać na źródła, jakimi się posługiwał. Przepraszam, ale takiego zwyczaju niema.

Wat.

Odpowiedź na zarzuty.

W swoim artykule p. t. „Litewska i białoruska książka w Polsce”, zamieszczonym w „Przeglądzie Wileńskim” Nr. 15—16 z r. 1935, niejako na marginesie tematu zrobiłem uwagę, że opracowywane przez p. Piotra Grzegorzycy coroczne

„Bibliografie mniejszości narodowych w Polsce” nic nie mówią o właściwych rozmiarach ruchu wydawniczego tych narodowości. Stwierdzeniem tego faktu poczuł się dotknięty p. Grzegorzycy i w Nr. 3—4 „Spraw Narodowościowych” (Maj—Sierpień 1935) i poświęcił mi prawie całą stronę, na której w sposób bardziej nerwowy niż rzeczowy zarzucił mi pomieszczenie pojęcia metody z kwestją zawartości bibliografji, itd. dzieł rzekome zlekceważenie jego wstępnych wyjaśnień do wspomnianych opracowań.

Przypuszczenie, że p. Grzegorzycy ma za sobą wyższe studia, zwalnia mnie od konieczności tłumaczenia mu różnego pojęcia metody. Co się zaś tyczy jego wstępnych wyjaśnień, o których niezajomość mnie podejrzewa, to nietylko że je czytałem, ale one właśnie potwierdzają skonstatowany przezeń fakt. Stwierdzając bowiem ograniczenie zawartości swych zestawień bibliograficznych, w „Bibliografji” za rok 1930 autor pisze: „Do urzędowego Wykazu Druków odsyłam pragnących całokształtu produkcji wydawniczej mniejszości narodowych w Polsce. Tutaj (t. zn. w „Bibliografjach”) czyniono tylko odpowiedni do celów pracy wybór”. Wydaje się dostatecznie jasnym, że jeżeli czyniono jakikolwiek wybór bez względu na jego charakter i cele, tem samem bibliografja nie jest pełną w tem znaczeniu, jakie jej nadawałem, i tem samem, jak to pisałem i co potwierdzam „nie otrzymamy właściwej cyfry, któraby nam o rozmiarach ruchu wydawniczego poszczególnych mniejszości mówiła”.

Podrugie: trzeba się zgodzić z tem, że tytuł każdej pracy obowiązuje. Opracowania p. Grz. noszą tytuł: „Bibliografie mniejszości narodowych w Polsce”. W świetle jego wyjaśnień tytuł odpowiedniejszy byłby: „Bibliografja prac o mniejszościach narodowych w Polsce”. Wtedy nie byłoby nieporozumień. Natomiast sprostowanie o ostatniej Bibliografji za rok 1933, wydanej w r. 1934 uważam za słuszne.

Eugenjusz Gulczyński.

Od Wydawnictwa.

Numer niniejszy rozsyłamy wszystkim naszym zesłorocznym prenumeratom. Następnym jednak wysłamy tylko tym, którzy wniosą przedpłatę na rok bieżący, lub przynajmniej zawiadomią Administrację, że pragną otrzymywać nasze pismo nadal.

Prenumeratę najwygodniej przesyłać za pomocą t. zw. przekazów rozrachunkowych (niebieskich).

SPÓŁKA DUKARSKA

„KRAJ“ dawn. „LUX”.
Wilno, Portowa 7, telef. 203

DRUKI PIĘKNE — ILUSTRACJE WIELOBARWNE